

Cichocki, Gawin, Karłowicz o „Gran Torino” Clinta Eastwoda

Jest to jedna z najbardziej bolesnych kpin z sentymentalnego tolerancjonizmu i politycznej poprawności, jaki ostatnio widziałem. W tym filmie rzeczywiście mówi się o chrześcijańskiej caritas i o dojrzewaniu do świętości.– mówił Dariusz Karłowicz w programie „Trzeci Punkt Widzenia”.

Narrator: Właśnie ukazał się na płycie DVD film „Gran Torino” w reżyserii Clinta Eastwoda. W głównej roli Walta Kowalskiego, weterana wojny w Korei wystąpił sam reżyser. Kiedy umiera żona głównego bohatera, nikt już nie jest w stanie przekonać go, że świat jest dobry. Jeśli wchodzisz mu w drogę musisz się liczyć z konsekwencjami. Sfrustrowany i skłócony ze światem Kowalski nie ma nic do stracenia. Dzielnicą, w której mieszka, rządzi gang, kiedy złodzieje podejmują próbę kradzieży jego zabytkowego Forda Gran Torino, Kowalski ogranicza się do ostrzeżenia. Jednak, kiedy gang krzywdzi sąsiadów, którzy po śmierci żony okazali mu więcej troski niż własne dzieci, postanawia sam wymierzyć sprawiedliwość. I to wbrew swoim przekonaniom, ponieważ sąsiedzi, których broni są nie lubianymi przez niego Azjatami, obcokrajowcami, emigrantami, których obwinia za rozkład Ameryki. Autorem scenariusza jest Nick Schenk, zdjęcia do filmu zrobił Tom Stern, muzykę skomponował Kyle Eastwood.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Dariusz Karłowicz: To fenomenalny film. Dla tych, którzy go nie widzieli, jest teraz szansa z powodu premiery na DVD. Film wszedł do kin w marcu, teraz można go dostać na płycie. Musimy od razu lojalnie przestrzec telewidzów, że w tym gronie nie ma szans na żadną krytykę Clinta Eastwooda (Marek Cichocki: Fantastyczny reżyser i aktor). Siedzący tu po prostu się z nim identyfikują, z trzech powodów. Po pierwsze ze względu na łudzące fizyczne podobieństwo do tego gwiazdora (Marek Cichocki: Masz na myśli też wiek?). Nie, mówię o Clincie po operacji plastycznej. Po drugie ze względu na naszą bezwzględność w egzekwowaniu prawa (Dariusz Gawin: Sprawiedliwości!). Po trzecie z pewnych przyczyn ideowych. Z tego trzeciego powodu - pierwszy jest oczywisty, o drugim nie będziemy mówić - warto się nad tym filmem zastanowić. Przeczytałem sporo recenzji tego filmu, w większości pochlebnych, chyba z jednym wyjątkiem. Niektóre bardzo ciekawe, tak jak na przykład ogromnie ciekawy tekst Wojciecha Orlińskiego w "Gazecie Wyborczej", który przedstawia całą historię Kowalskich od Marlona Brando w sławnym "Tramwaju zwanym pożądaniem", przez "Łowcę androidów", kończąc na grach komputerowych, których nie znam. To jest ciekawy topos. Ale muszę powiedzieć, że gdy zestawiam to, co czytałem o filmie z samym filmem, to mam wrażenie, że wszystko to jest jakoś nie na temat. Bo to jest przede wszystkim film religijny, może religijno-patriotyczny, a o tym w recenzjach nie było ani słowa. Dlaczego tak się dzieje?

Marek Cichocki: On po prostu nie mieści się w żadnych współczesnych kodach interpretacyjnych. W interpretacjach, opisach tego filmu ich autorzy koncentrują się na rzeczach naprawdę drugorzędnych. Mianowicie na konwencji, na tym że jest to jakiś rodzaj kpiny, zabawy z poprawności politycznej, że jest to mistrzostwo formalne Clinta Eastwooda. Tymczasem nie chcą zobaczyć tego, co jest tak naprawdę istotą tego filmu, koncentrując się na jakichś dyrdymałach dotyczących kwestii tolerancji. Zapominając o tym, że jest to film, tak jak powiedziałeś, głęboko religijny, religijno-patriotyczny, traktujący o chrześcijańskim caritas. Film o drodze człowieka do Boga. Bo właściwie o czym jest historia Kowalskiego? Jest to historia o tym, jak człowiek pokochał nieprzyjaciół swoich. Dlatego, że na początku tej drogi do Boga Kowalski jest bezwzględny, białym Amerykaninem, który strzela bez pardonu do "żółtków" w Korei. I to jest podstawowy topos białego, amerykańskiego człowieka. Natomiast potem okazuje się, że jako człowiek u końca swej drogi, w sytuacji dla siebie wyjątkowo niekorzystnej, dramatycznej oceny całego swojego życia, jest zdolny do tego, żeby zdobyć się na przyjaźń, a nawet na miłość. Chociaż obiektywnie można pomyśleć, że jego wojna, którą toczył począwszy od wojny w Korei, została przez niego przegrana, ponieważ mieszka samotnie w swojej dzielnicy otoczony przez Azjatów bądź czarnych. W tym sensie można powiedzieć, że jego wojna została przegrana. W tym momencie jest on zdolny do wykrzesania z siebie czegoś najbardziej wartościowego.

Dariusz Karłowicz: Właśnie. Mnie strasznie rozśmieszyło, kiedy zobaczyłem w którejś recenzji, że w filmie jest wątek o tolerancji. Trzeba powiedzieć, że Clint Eastwood nie jest tolerancyjny ani delikatny, nawet w tym momencie, kiedy naprawdę zaprzyjaźnił się ze swoimi sąsiadami. Zresztą pod tym względem jest to jedna z

najbardziej bolesnych kpin z sentymentalnego tolerancjonizmu i politycznej poprawności, jaki ostatnio widziałem. W tym filmie rzeczywiście mówi się o chrześcijańskiej caritas i o dojrzewaniu do świętości. Zresztą film ma dwa bardzo czytelne etapy. Pierwszy to przejście od radykalnej wrogości, postawy nienawiści, kiedy człowiek jest gotowy do zabijania przeciwników, unicestwienia wroga do życzliwości, a nawet gotowości stanięcia w obronie. Bardzo ewangeliczne. Drugi to przejście od przyjaźni (bardzo ważne) do miłości w formie najdoskonalszej, do etapu historycznej cnoty. Finał, mówiąc językiem Ewangelii, jest sceną "oddania życia za przyjaciół swoich". Czyli najwyższa forma poświęcenia, de facto świętość. To jest film, który mówi o nawróceniu, próbie zadośćuczynienia i świętości. Dziwne, że można to przeoczyć, zwłaszcza w Polsce. Rozumiem, że recenzenci chińscy czy z Arabii Saudyjskiej mieli problemy z wykryciem tego wątku. Ale w Polsce też uszedł uwagi krytyków...

Dariusz Gawin: Jest jeszcze jeden wątek, tylko wspomniany wcześniej. To jest wymiar polityczny tego filmu, też związany z przyjaźnią, która przecież u Arystotelesa spaja wspólnotę polityczną. On jest republikaninem, nie w sensie politycznym, choć pewnie na republikanów głośuje, dla którego punktem odniesienia jest republika amerykańska (Dariusz Karłowicz: Jest obywatelem republiki.). W kluczowych momentach pojawia się tam flaga amerykańska, którą ostentacyjnie wywiesza przed swoim domem (Dariusz Karłowicz: Jest obywatelem, który najpierw za republikę walczył, zabijał i był gotów za nią oddać życie, a potem w pewnym sensie "uobywatelnia"). Uobywatelnia tych, którzy przyjechali teraz do Ameryki, następną falę, bo republika, jeśli ma być żywa, musi być zdolna do adaptacji tych obcych, którzy cały czas do niej przybywają. Tak jak kiedyś republika amerykańska, zbudowana przez anglosaskich protestantów, przyjęła Kowalskich-katolików czy włoskich fryzjerów, tak teraz przyjmuje

Azjatów. Pokazuje to zasadniczą różnicę z Europą. Bo w Europie bardzo dużo mówi się o wielokulturowości, ale sytuacja, w której Turek zostałby kanclerzem Niemiec, albo Arab z Maroka prezydentem Republiki Francuskiej, jest nie do wyobrażenia. A właśnie teraz czarny został prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Dariusz Karłowicz: Myślę, że Eastwood w dużym stopniu opowiada tu historię o tej prawdziwej amerykańskiej wielokulturowości, o wielokulturowości republiki. Specyfika Ameryki polega w ogromnym stopniu na tym, że konstytucja wyrasta z oświecenia, które było formą mariażu Jerozolimy z Rzymem. Dlatego tacy ludzie jak Clint Eastwood ciągle w to wierzą. Wierzą, że Ameryka jest zdolna do takiej otwartości, do przyjmowania kolejnych Kowalskich, tym razem azjatyckich, jak długo u podstaw stoi gotowość do nawrócenia ich na szacunek do republikańskich cnót. I to jest ciekawe, kiedy się na to patrzy. Bo jako idea i praktyka to ciągle pracuje.

Rozmowa z programu „Trzeci Punkt Widzenia”, wyemitowanego 4 października 2010 roku



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego